



WSPOMNIENIE O PROFESORZE JACKU WASILEWSKIM

Z głębokim żalem przyjąłem wiadomość o odejściu Profesora Jacka Wasilewskiego. Odszedł wybitny socjolog, badacz i nauczyciel, ale dla mnie przede wszystkim promotor i mistrz. Te określenia nie są ani trochę na wyrost. Jacek był kimś, kto ukształtował mnie jako nauczyciela akademickiego i badacza. To, kim dziś jestem w zawodowym życiu, zawdzięczam w dużej mierze jego obecności i wpływowi. Z jego odejściem kończy się pewna epoka, znika z naszego akademickiego świata pewien niezastąpiony ton – ton odpowiedzialności, powagi, powściągliwości i prostoty, która nie potrzebuje ozdób.

Dla mnie Jacek był przede wszystkim nauczycielem akademickiego życia i fachu. Był promotorem mojej rozprawy doktorskiej, obronionej w Instytucie Studiów Politycznych PAN w 2006 roku. Nie ograniczał się jednak do roli promotora rozumianej jako formalna opieka nad doktorantem i ocena kolejnych fragmentów pracy. Traktował tę relację jako proces formacyjny, w którym nie chodzi o samo ukończenie i obronienie rozprawy, lecz o ukształtowanie samodzielnego badacza. Był wymagający i bezkompromisowy. Oczekiwał odwagi w stawianiu pytań, uczciwości w prowadzeniu badań, precyzji w argumentacji, konsekwencji w myśleniu i działaniach oraz samodzielności w pracy intelektualnej. Te wartości stanowiły pewien niepisany kanon, który praktykował na co dzień i przekazywał uczniom i współpracownikom. To nie były dla Jacka hasła; były obecne w jego sposobie komentowania, w reakcjach na teksty, w dyskusjach i radach. Z jego uwag, często ostrych i dosadnych, a niekiedy trudnych do przyjęcia, zawsze wynikało jedno: troska o rzetelność, sensowność i jakość. Jeśli mówił „to nie jest gotowe”, nie upokarzał – zapraszał do poważnej pracy nad argumentem, nad wywodem, nad strukturą tekstu. Uczył, że metodologia to nie zbiór pustych formuł, tylko etyka myślenia i działania.

Jacek był człowiekiem powściągliwym. Nie lubił przesadnych, barokowych przemówień ani akademickich ornamentów. Wręcz przeciwnie – każde jego słowo miało wagę. Wolał mówić mniej, ale celnie. Tę powściągliwość odczuwało się zarówno w rozmowach, jak i w jego tekstach: były oszczędne, zwarte, pozbawione niepotrzebnych ozdób. W jego przekonaniu słowo było narzędziem, które musi być używane odpowiedzialnie i precyzyjnie. Zdanie powinno mieć treść, tezę; akapit – cel i sens; rozdział – wynik, który coś wnosi,

jakoś jest światu przydatny. W Akademii – zdaniem Jacka – nie chodzi o błyskotliwość formy, lecz o treść i uczciwość intelektualną. Potrafił jednym zdaniem, krótką uwagą czy dopiskiem na marginesie powiedzieć więcej niż inni w długich, rozwlekłych recenzjach. Milczenie także miało u niego wymowę – bywało sygnałem, że trzeba wrócić do podstaw, pomyśleć jeszcze raz i skreślić połowę zdań.

Pamiętam dobrze jedno z naszych spotkań, w czasach gdy już kończyłem pisać doktorat. Umawialiśmy się regularnie, by omawiać kolejne przesyłane Jackowi rozdziały. Spotykaliśmy się na Polnej, w Instytucie Studiów Politycznych PAN, gdzie obaj wtedy pracowaliśmy. Akurat to spotkanie odbyło się latem. Pamiętam, że było ciepło i słonecznie. Jacek zaproponował, że zamiast siedzieć w czterech ścianach, pójdziemy na piwo – była piękna pogoda, a on chciał, by rozmowa toczyła się w mniej formalnej, luźniejszej atmosferze. Trafiliśmy do ogródków piwnych przy Frascati. Zamawiamy pierwsze piwo. Gawędzimy o tym i o owym, jak to przy piwie. Trochę plotek, trochę o pracy w ISP PAN, trochę o różnych innych drobiazgach. Potem zamawiamy drugie piwo – znów rozmowa toczy się wokół wszystkiego, tylko nie mojej rozprawy. Czuję rosnący niepokój... Kątem oka dostrzegam, że Jacek ma ze sobą torbę, a w niej wydruki dwóch moich rozdziałów. Jacek dopija drugie piwo, wyciąga z torby moje wypociny, kładzie je przede mną i mówi: „Panie Mikołaju, co ja panu będę dużo mówił... Niech pan sobie na to rzuci okiem, a ja zamówię nam jeszcze kolejkę”.

Zostaję sam z tym opasłym plikiem kartek. Otwieram i widzę: całe akapity powykreślane, strony pełne uwag, dopisków, skreśleń, masa komentarzy na marginesach... Oba rozdziały, które uprzednio przekazałem promotorowi, były w moim naiwnym przekonaniu tekstami wysokiej akademickiej próby, błyskotliwymi i uczonymi... Jacek miał o nich zgoła odmienne zdanie (zresztą słusznie) i dał temu wyraz w bardzo licznych uwagach, dopiskach i skreśleniach. Teksty leżą teraz przede mną zmasakrowane, niewiele właściwie z nich zostało... W pewnym momencie moją uwagę przykuwa komentarz zapisany na marginesie, charakterystycznym, szybkim pismem. Brzmi – cytuję dosłownie – tak: „Noż kurwa, zaraz nie wytrzymam! Co to jest? Pogwarki przy ognisku?...”.

Ten dopisek, dość przecież brutalny w formie, ale zarazem niezwykle celny, został ze mną na zawsze. Do dziś powracam do niego jak do motta, przypomina mi się często podczas pracy. I to nie tylko wtedy, gdy piszę swoje teksty. Ale także wtedy, gdy coś w pracy czytam, recenzuję, redaguję, gdy sprawdzam prace studentów czy doktorantów, gdy pracuję nad regulaminami i innymi dokumentami. Ta celna uwaga Jacka, zapisana na marginesie brudnopisu jednego z rozdziałów mojej rozprawy doktorskiej, zawsze mi przypomina, że tekst akademicki nie może być powierzchowny ani banalny. Musi być rzeczowy, precyzyjny,

uzasadniony¹; ma prowadzić czytelnika, a nie osnuwać go dymem nastrojów czy uwodzić efektowną frazą.

Ta anegdota dobrze oddaje Jacka styl: z jednej strony bezpośredni, czasem szorstki, a z drugiej – niezwykle wychowawczy i formujący. Jego uwagi bywały trudne do przełknięcia, ale właśnie dlatego miały moc. Wiedziałem, że jeśli już coś skomentował, to znaczyło, że naprawdę wymaga to poprawy. Uczył nas porządku: najpierw pytanie, potem dowód, dopiero na końcu interpretacja; żadnych „pogwarek” w miejscu, gdzie powinna stać analiza. Paradoksalnie właśnie ta surowość była formą troski – chroniła nas przed zadowoleniem się pierwszą myślą i przed intelektualnym lenistwem.

Przez wiele lat Jacek był też moim przełożonym (prawie dekadę pracowaliśmy razem w SWPS). Z tego okresu zapamiętam go jako mocnego, prawdziwego lidera – kogoś, kto potrafił wziąć odpowiedzialność nie tylko za siebie, ale także za instytucję, zespół, ludzi, którzy mu ufali. Miał w sobie charyzmę i naturalny autorytet, a także niezwykłą odwagę podejmowania trudnych decyzji. W czasach gdy uczelnie podlegały różnym reorganizacjom i reformom, Jacek nigdy nie gubił z oczu wartości fundamentalnych. Zawsze uważał, że aksjologia i etyka muszą być pierwsze. Były dla niego ważniejsze niż doraźne interesy, proceduralne detale czy bieżące kalkulacje. Nigdy nie wybierał drogi „dla świętego spokoju”. Pytał o sens, o zgodność z zasadami, o uczciwość wobec ludzi i instytucji. Kiedy wymagał, to zaczynał od siebie; kiedy oceniał, to na podstawie kryteriów, które wcześniej jasno stawiał. Nie przerzucał odpowiedzialności, nie chował się za formułkami – znosił ciężar decyzji, nawet jeśli były niepopularne.

Był kimś, kto naprawdę rozumiał, czym jest współczesny uniwersytet. I jaki powinien być. Jego nieufność wobec pozornych reform, jego niechęć do uproszczeń, jego nieugiętość w sprawach zasadniczych – wszystko to brało się z przekonania, że Akademia nie jest miejscem łatwych kompromisów. Dla niego uniwersytet był przestrzenią, w której podstawową walutą jest jakość – badań, dydaktyki, argumentacji. Dlatego tak ostro reagował na wszelkie przejawy bylejakości. Nigdy nie chodziło o to, by udowodnić swoją wyższość – zawsze o troskę, by uniwersytet pozostał miejscem prawdy i odpowiedzialności. Umiał odróżnić zmianę potrzebną od zmiany pozornej; wiedział, że nie każda „innowacja” podnosi standard, a nie każda tradycja jest obciążeniem. Bronił sensu instytucji, nawet gdy wymagało to mówienia „nie” w sytuacjach, w których łatwiej było przytaknąć lub milczeć.

¹ Życie dopisało do tych wydarzeń ciekawą pointę. Moja rozprawa doktorska została wydana w formie książkowej, w Wydawnictwie Naukowym Scholar (w 2007 roku). Pamiętam dobrze, że redaktorka książki, Pani Eliza Otto, była zaskoczona jakością tekstu – nie chciała uwierzyć, że manuskrypt przed złożeniem w wydawnictwie nie przeszedł profesjonalnej obróbki redaktorskiej...

Jestem przekonany, że gdyby nie Jacek, nauki społeczne w Uniwersytecie SWPS wyglądałyby dziś zupełnie inaczej. Jego wpływ był głęboki, choć często niewidoczny. Nie przejawiał się w spektakularnych gestach, lecz w codziennej etyce pracy, w praktykach i zwyczajach, w decyzjach, które podejmował, i w jakości, której wymagał od innych i od siebie. Wiele rzeczy, które dziś w naszym środowisku uważamy za oczywiste, wyrasta z jego myślenia i postępowania. Wciąż odnajduję jego ślady w tym, jak organizujemy pracę, jak prowadzimy seminaria, jak przygotowujemy studentów do badań. Nawet kiedy nie widać jego podpisu pod dokumentem, to jest w standardzie, który praktykujemy i bez wahania przyjmujemy.

Wspominając Jacka, myślę też o jego codziennej obecności: o krótkich, celnych uwagach na marginesie tekstu; o sposobie, w jaki potrafił jednym pytaniem rozbroić nieprzemyślaną hipotezę; o milczeniu, które bywało równie wymowne jak słowa. Uczył też, że odpowiedzialność to nie deklaracja, lecz praktyka – powtarzana, żmudna, konsekwentna. Nie był Jacek kaznodzieją zasad; był ich wykonawcą. Szacunek budował spokojem i konsekwencją, nie retoryką. Potrafił łączyć twarde wymagania z lojalnością wobec ludzi; potrafił upominać, nie upokarzając; był uważny na kontekst, a zarazem odporny na modne słowa, które niczego nie wyjaśniają.

Jacek był autorytetem. Nie tylko ze względu na wiedzę i umiejętności, które posiadał, ale także przez sposób, w jaki je przekazywał, jak się nimi dzielił, jak inspirował, wychowywał, uczył. Wierzę, że jego obecność nie kończy się wraz z jego odejściem. Pozostaje z nami jako wzór i punkt odniesienia – w naszej pracy, w tekstach, które piszemy, w decyzjach, które podejmujemy, w głoszonych wykładach i prowadzonych seminariach. Jego dziedzictwo trwa i będzie trwało tak długo, jak długo będziemy wierni wartościom, które nam przekazywał.

Mikołaj Cześnik